Lwów, 28. Kwietnia. №50. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycimy mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział. ce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za następ. po 1½ kr. i za do. płatę 10 kr. stępl. za każdorazwe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

WIENIEC CIERNIOWY.

(Ciąg dalszy.)

Rozdział VI.

SCENY DOMOWE.

Nad brzegiem Wilii, po tej samej stronie na której stał klasztorek, małą milkę od niego odległa była wieś Brzeziny, mająca nader piękne położenie, chociaż odmienne nieco. W tem bowiem miejscu brzegi Wilii były niskie, a okolicę więcej płaską urozmaicały mnogie wioski sadami okolone, zielone gajów kląby i zieleńsze jeszcze łąki. Jedna tylko i to niewielka była wzniosłość nad samym brzegiem rzeki, i na tym pagórku stał dwór brzeziniecki. Dwór ten powierzchownością swoją wzbudzał u okolicznej szlachty powiększej części drobnej niemałe podziwienie, które się wszakże objawiało zwykle kiwaniem głowy. W rzeczy samej było nad czem głowami kiwać, mianowicie gdy te głowy należały do upartych Litwinów, od wieku przyzwyczajonych do drewnianych i niskich dworków swoich. I po prawdzie powiedziawszy budowniczy tego domu musiał zapomnieć wcale na jakiej ziemi i pod jakim buduje niebem. Był to pałacyk do willi włoskiej podobniuteńki, jakby przeniesiony z nad brzegów Arno lub Tybru między bory litewskie. Dach niski i płaski doskonały we Włoszech, tu na Litwie ulegał corocznie ciężarowi śniegu, co stawało się przyczyną ciągłej łataniny i niemałych wydatków. Cały pałacyk wyglądał na wszystkie boki mnogiemi obdarzon oknami gdyby latarnia; ładnie się to wydawało przy rzęsistem oświeceniu, ale w zimie gdy litewskie przycisnęły mrozy, a rozdąsały się wiatry, mieszkanie w pałacyku stawało się nie nader przyjemne; to też skutkiem konieczności zamurowywano rok rocznie pare okien, co oczywiście symetryi nie wiele pomagało.

Co zaś najwięcej dziwiło Litwinów i ich głowy w ruch wprowadzało, to były kolumnady po czterech bokach domu wystające, Jońskie, Korynckie i Bóg wie jakie, które w oczach poczciwej szlachty nadawały pałacykowi powierzchowność jakiejś świątyni. Niemałe też sprawiało zgorszenie, aby człowiek śmiertelny stawiał sobie doczesne pomieszkanie, Bogu tylko przeznaczone. A że to widocznie kościół czyliż mogli wątpić, widząc na górze dwupiątrowego pałacyku wystający z dachu rodzaj kopuły oczywistej. Był to po prawdzie ni w pięć ni w dziewięć koncept jakiś szklanny cały; niby to obserwatoryum, niby altanka, niby pokój letni, w którym oczywiście w czasie upałów nikt nie byłby w stanie wytrzymać. A że jeszcze w tym szklannym koncepcie zawieszony był dzwonek, który miał niby regulować dzienne zatrudnienia, nikt by nie był wybił z głowy Litwinom tego przekonania, że to jakiś pogański kościółek, wystawiony na przedrzyznienie świętej wiary katolickiej. Już to pogańszczyzny było tam nie mało, bo w ogrodzie szpalerowym i z włoska krajanym, więcej prawie jak drzew było posągów, i oczywiście wszystkie nagie, po większej części kobiece, w postawach mitologicznych, a z wyrazami anakreontycznemi. Był tam cały Olimp, ze wszystkiemi nimfami, gracyami i całym taborem bajecznych bogiń.

Wnętrze domu odpowiadało po części jego powierzchowności, mianowicie co do zamiłowań mitologicznych. Bo i we środku mnóstwo było obrazów i posążków opowiadających erotyczne dzieje czasów mitologicznych. Pokoje były piękne, obszerne i umebiowane nawet z pewnym smakiem artystycznym, ale odbijały się w nich, nieład, brak stałości w tym który je stroił. W każdym niemal pokoju widać było kaprys który chwyta się namiętnie, dziś obrazów, jutro posągów, lub kwiatów, lub bronzów, lub też innych jakichkolwiek zbiorów, ale nigdy nie dotrwa, i przemija nader szybko.

Najciekawszy był pokój do którego czytelników wprowadzamy. Był to pokój obszerny bardzo, ale zawalony sprzętami najróżnorodniejszemi, bo w tym pokoju mieściły się próbki wszystkich kaprysów pana domu. Najważniejszą pokoju tego ozdobą była posadzka imitująca mozajkę, i ściany okryte portretami kobiet najładniejszych, jakie tylko pojawiły się w przeszłości, lub jakie wymarzyli malarze. Były prócz tego rozmaite szafki i szafeczki to z medalami, to z kamykami, to z zaszuszonemi kwiatami, a między niemi największa misternie z drzewa mahoniowego, w manierowym a la Pompadour smaku wytoczona, z frontonem bogato bronzem i perłową macicą wysadzanym, z napisem na wierzchu: Souvenirs.

Na samym prawie środku tego salonu były kręcone schody, wiodące do owej latarni górnej, wszystkie zastawione wazonami kwiatów, co w rzeczy samej ładny bardzo sprawiało widok, bo tworzyło rodzaj kolumny zielonej i kwiatowej. W jednym nareszcie rogu stało wielkie bióro ro-

boty nadzwyczaj wytwornej, z ogromnym zegarem przedstawiającym Apolina ze słońcem na głowie pomykającego wozem którego koło wskazywało godziny. Na biórze było takie mnóstwo fraszek, że mimowolnie mogło się zdawać, że to jest gotowalnia kobieca, gdyby nie to że przed tem właśnie biórem w szlafroku siedział mężczyzna rozparty w wielkiem wolterowskiem krześle.

Przed nim na biórze stały rozstawione pakiety listów powiązane wstążeczkami najrozmaitszych barw. Rozwiązywał jeden po drugim, i przeglądał listy na papierach kolorowych i złoconych pisane, z których mimo że już je żółtość wieku powlokła, dobywała się jeszcze silna woń piżmowa, przypominając nieco ten zapach jaki uderza przy odemknięciu trumien, zachowujących ciała dobrze zabalzamowane. Była to woń dawno zabalzamowanej i do trumien już uciekłej galanteryi miłosnej, od pół wieku już może zamilkłej.

Niepotrzebuje opisywać zmarszczków na twarzy mężczyzny, ani też upudrowanej peruki na głowie, bo każdy z czytelników poznał już szambelana Siarkowskiego, dziedzica Brzezin. Twarz jego podczas tego przeglądu przeszłości przybierała najrozmaitsze i po części najpocieszniejsze zmiany. To się uśmiechnął figlarnie, i jak za najmłodszych czasów lekki tylko powietrzny prawie zażył niuszek tabaczki z elegancką zgrabnością ruchów. To znowu podnosił batystową chustkę, i niby oczy obcierał; biedak on tylko obcierał blansz i róż z twarzy. To znowu potężny nabierał niuch tabaki, i długo, przeciągle zażywał, a oczy wznosił w sufit, głębokim oddany medytacjom.

— Dziwna rzecz! mówił do siebie. Myślałem że z listów dojdę i przypomnę sobie, kogo przedstawia ta miniatura na tabakierce. I czytam i czytam; a listów jest mnóstwo! helas! dodał tragicznie, i porwał się za serce niby. I żeby też zapomnieć mówił dalej, ja który mam taką pamięć doskonałą. A chciałbym dociec, bo niech co chcą mówią, ja widzę oczywiste podobieństwo do tego Witołda. Miałżeby to być głos krwi, że ja jego tak lubię... Ja jestem tak uczuciowy.

I znowu chustka była w robocie. Szambelan tak był przyzwyczajony do odgrywania towarzyskiej komedyi, że odgrywał ją sam przed sobą. Czas jeszcze jakiś przeglądał listy, nareszcie znudzony snać, odsunął pakiety listów od siebie, i zadzwonił na dzwonku bronzowym który stał koło niego na biurze.

Na pierwszy odgłos dzwonka otworzyły się drzwi z lekka i weszła przez nie dziewczynka ledwie siedemnastoletnia, biała, rumiana, jakby krew z mlekiem, z oczkiem figlarnem, kręconemi się nieco na głowie ciemnemi włosami i uśmiechem koło małych do wiśni podobnych ust, na poły swawolnym, na poły naiwnym. Ubrana była porządnie, czysto i skromnie, a układ jej nieco nieśmiały i niekoniecznie zgrabny, nowego powabu dodawał świeżemu i lubemu dziewczęciu które wyglądało na pół subretki na pół wiejskiej dziewczyny.

Ujrzawszy dziewczynę, zerwał się szambelan żwawo dosyć mimo podagry, na twarzy wystąpił wyraz zdziwienia, a do ust przybiegł mu uśmiech jakiś dawny, pełen wytwornej zalotności. Jak to dobrze Francuzi nazwali, usta przybrały kształt serca.

— Jak się masz ma petite; jak się masz Róziu! zagadł szambelan, i pogłaskał po pod brodę. Jakiż cię wiatr szczęśliwy przynosi do mnie. Dzwoniłem na ojca, a córeczka pojawia się mi w całej okazałości swojej.

— Ojca niebyło, bo wyszedł, ja zaś usłyszawszy dzwonek jaśnie wielmożnego pana.......

— Przyjechałaś zapewne do ojca?

— Nie do ojca! ja do jaśnie pana przyjechała; rzekła dziewczyna i zarumieniła się.

Warto było widzieć szambelana jaką on na to wyznanie minę zrobił. Uśmiechnął się sam do siebie z tą pewnością zwycięztwa jaka mu przed czterdziestą laty występowała na twarz, i wyciągnąwszy ku niej usta farbowane, cmoknął w powietrze, bo się dziewczyna usunęła.

— Do mnie moja Róziu! może od brygadierowej z listem, albo od tej mojej ślicznej Antosi?..

— Nie od państwa, ale od siebie samej.

— O sancta simplicitas! pomyślał szambelan, nie wiedząc że sam sobie epigram powiedział. Ona nie umie utaić uczuć swoich.

— Chodź! w objęcie moje, chciał dodać szambelan uszczęśliwiony tak niespodziewanym podbojem. Lecz Rózia uprzedziła go i porwawszy za rękę, ucałowała ją z uszanowaniem.

— Zakochana we mnie po uszy! pomyślał szambelan, gotowy uciąć jakie przedpółwiekowe entrechat albo piruetę.

— Ja mam wielką do Pana prośbę... bo ja wiem że pan taki dobry...

— Dobry!.. i ty mnie kochasz Róziu? zapytał z akcentem, jakiego używano przed rewolucyą za kulisami teatru francuzkiego w Paryżu.

— Jakże pana nie kochać, kiedy pan dobry!..

— Naiwne dziecko! na honor!.. i ja ciebie kocham! tak jest Róziu, kocham cię.. Chodź więc co... I znowu nie dokończył, bo mu dziewczyna co rychlej przerwała.

— I wiem że pan mi prośby mojej nie odmówi.

— Mów tylko.... pewnie pieniędzy potrzebujesz... mów wiele?..

— Nie pieniędzy!..

— Cóż więc takiego?.. rozumiem!.. miłości!..

— Otóż właśnie że mnie ta miłość nieszczęśliwą robi.

— Nie martw się ma petite.. mów śmiało!

— Ja proszę pana.. ja chcę.. ja chcę.. iść za mąż..

— Za mąż!.. to śliczna myśl, ale uważasz moje dziecko w pewnych stosunkach, w pewnych położeniach społe-

cznych niepodobieństwo jest przezwyciężyć ludzkie przesądy.. I nareszcie miłość sama dłużej trwa, jeżeli nie skrępowana..

— Ja niemam miłości! ja tylko chcę iść za mąż..

— Ba! patrzcie na nią! zawołał zdziwiony szambelan, który dotąd brał wszystko do siebie. Więc ty nie kochasz mnie! już już miał dodać...

— Kocham tylko panią brygadierową i pannę Antoninę osobliwie, a choć mnie serce będzie boleć rozstać się z niemi, chcę iść koniecznie za mąż. A to od pana samego wiele zależy.. prawda że mi pan nie odmówisz?.....

— Naturalnie! jeżeli od mojej zależy woli! A jaka oblesna! diable! gdybym nie był kawalerem maltańskim...

— Mój ojciec sprzeciwia się.

— Sprzeciwia się? szczególna rzecz! i to dla czego?

— Powiada że za stary!

— Stary! a to głupiec! i ja mogłem dwadzieścia lat trzymać takiego głupiego kamerdynera. Stary! głupiec! dla czego stary? kto stary?

— Powiada że ogrodnik Walenty ma już lat czterdzieści.

— Ogrodnik Walenty! zawołał szambelan, i wypatrzył na nią zdziwieniem zgłupiałe oczy.

— Ale nie musi on być tak stary, kiedy mi powiada proszę pana że mnie kocha!

— Tak! wyśpiewał szambelan cieniutkim głosem, i dał na jednej nodze pirueta, jakiegoby mu najmłodszy pozazdrościł.

— Tak! powtórzył przeciągłym głosem. Głupia gęś! dodał! i w tej chwili spojrzał na zwierciadło naprzeciw wiszące. Zmarszczył czoło, skrzywił usta; chmura gniewu która mu na twarzy usiadła, nie dodała jej wdzięków, i zwierciadło odbiło wiernie całą twarz szambelana. Chwilę patrzał w zwierciadło; lecz wnet znikła z twarzy chmura gniewu; z dobrodusznym uśmiechem na pół smutnym, na pół wesołym kiwnął ku własnej twarzy w zwierciedle odbitej, i odwrócił się nazad do dziewczyny z wypogodzonem obliczem. Poczciwy szambelan.

— Więc za Walentego chcesz iść za mąż?

— Niech jaśnie pan raczy to zrobić!

— Ale mówiłaś że go nie kochasz?

— A bo nie kocham.. ale wiem że on mnie kocha, i dobrym jest człowiekiem.

— I niekochając chcesz iść za mąż? Róziu! cóż w tem jest?

— Alboż to koniecznie kochać!

— Ja chcę wiedzieć prawdę, jeżeli mam ci pomagać.

— Bo ja się chcę oddalić ze dworu w Słobódce.

— Cóż to, państwo źli dla ciebie?

— Ale gdzież tam! niema lepszych aniołów na świecie, jak pani brygadierowa i panna Antonina, ale..

— Czyż inna jest przyczyna?

— Kiedy ja się wstydzę powiedzieć!

— Mów śmiało! ja starszy od mojego ogrodnika! wyrzekł szambelan z gorzkim uśmiechem.

— Bo mi pan Artur nie daje spokoju!

— Artur Wenda!

— A on! jak utrapienie jakie biega za mną.

— I cóż ci to szkodzi!

— Ale kiedy! zagadła i przerwała pąsowym oblana rumieńcem.

— On ciebie kocha?

— Ja niechcę takiego kochania! on myśli że pan, to mu wszystko wolno.. ja biedna jestem dziewczyna.. ale grzechu niepopełnię, żeby się miała wstydzić za mnie matka moja w grobie.

Wolterowski szambelan nie mógł wytrzymać, ażeby nie mruknąć pod nosem.

— Ou diable la vertû va-t-elle se nicher!

— Ja pana proszę o ratunek! bo pan jesteś taki dobry.. ja pana znam od dziecka, i wiem że pan nawet robakowi nic złego nie zrobisz. Ratuj mnie pan! dodała głosem płaczliwym, i ze łzami w oczach. Ja jestem słaba dziewczyna. Pan Artur jest pan, młody, przystojny! podobny do tego diabła co go w klasztorze ś. Michał trzyma pod sobą. Wydaj mnie pan za swego ogrodnika.

— Czemuż się pani swojej nie poskarzysz jeżeli cię zaczepia Artur?...

— Aj proszę pana... jest już tam i tak dosyć biedy... co się tam pani napłacze z powodu pana.

— Cóż, Brygadier zawsze sceny wyprawia?.

— Panie, po nocy słyszę czasem takie krzyki, a pani moja dobra tak płacze, że aż mnie serce się ściska.

— Biedna brygadierowa!

— A potem pan Artur kocha się niby w pannie Antoninie.

— I w niej i w tobie?

— Ja tam tego nie rozumiem, ale wiem że pan brygadier chce gwałtem wydać córkę za pana Artura...

— A Antosia czy go kocha?

— Gdzie tam, proszę pana.

— I dla czegóż... młody... przystojny... bogaty!..

— Bo serce niemożna zniewolić.... bo.... ale pan mnie nie zdradzi... panna kocha kogo innego...

— Patrz! patrz! ona kocha... kogóż?

— A kogoż innego, jeżeli nie tego ślicznego jak anioł, i jak anioł pięknego pana Witołda..

— Witołda?... zawołał na prawdę zdziwiony szambelan.

— I on ją kocha?. dodał z ciekawością starca.

— O jak się kochają!

— Cóż matka na to?

— Oni sami nie wiedzą że się kochają; oni są z sobą jak brat z siostrą... jakby dwa anioły w niebie.. i matka

kocha go jak syna; a pan niewiem czy go raz widział na oczy swoje, przez te całe sześć lat, przez które pan Witołd bywa.

— Diable! diable! to z tego mogą wyniknąć kolizje... muszę wdać się w to... żebym przynajmniej mógł sobie przypomnieć... to podobieństwo..

— Wiem że pan dobry... pan i im pomoże... i mnie pomoże...

— Aha!.. więc to idzie o mego ogrodnika.. bądź spokojna!. kiedy ci się zachciało, będziesz jego żoną... a o posag już już ja się postaram...

— Jaki pan łaskaw!.. jaki pan dobry! zawołała dziewczyna, i pobiegła ku niemu, chcąc go pocałować w rękę. Lecz szambelan na to nie zezwolił, i pogłaskawszy ją po pięknej twarzyczce, lekki na pół ojcowski złożył jej na czole pocałunek.

— Nie dobra jesteś dziewczyna! powiedział z kwaśnym uśmiechem, ale ja głupi! domówił resztę po cichu, patrząc na zarumienioną jak poziomkę Rózię.

— A niech pan nie zapomni o pannie Antoninie i panu Witołdzie, co by to była za śliczna para!

— Dobrze! dobrze! ale poczekaj jeszcze trochę!

— Muszę się spieszyć, żeby mnie tu ojciec nie widział; przebiegnę przez ogród, a tam czeka mnie furka co mnie tu przywiozła.

To rzekłszy wymknęła się nie czekając na dalsze starca pożegnanie, które groziło być czulszym jeszcze. Po jej odejściu kiwnął szambelan głową z markotnym wyrazem, i z szyderczym nieco do siebie zastosowanym uśmiechem, spojrzał do zwierciadła. Zwierciadło odpowiedziało jeszcze szyderczej, odbijając wiernie pomarszczone starca rysy.

— Starzeje się człowiek! mówił sam do siebie. Ba!... ale serce nie starzeje się! dodał, chcąc się pocieszyć, i obrócił się na pięcie. Ale te biedne dzieci! z swoją miłością! to będą awantury! trzeba przecie coś wymyśleć.

Jakoż na piękne zaczął myśleć stary szambelan, chcąc koniecznie pomódz Witołdowi, którego w rzeczy samej polubił tak dalece, że mimo ówczesnych przesądów i rodowej dumy, którą posiadał także, nie obruszyła go tak bardżo ta niestosowność społecznego kochanków położenia. Przytem jak wiemy, szambelan lubił mieszać się we wszystko, wszystkim pomagać, a głowę miał lekką i do romansowości skłonną.

Myślał więc na piękne, gdy nagle od strony ogrodu ozwał się jakiś krzyk, w którym zdało się szambelanowi poznać głos Rózi. Krzyk urwany ustał, ale za to ozwał się jakiś gwar coraz głośniejszy, coraz bliższy, jakby kłótnia zbliżających się do pokoju osób.

Jakoż po krótkiej chwili otwarły się drzwi wchodowe, i wpadło przez nie dwóch młodych ludzi z wyrazem gniewu i oburzenia na twarzy.

— Pan szambelan niech osądzi! mówił młodzieniec o jasnem oku, jasnych włosach i jasnem obliczu, ciągnąc prawie za sobą towarzysza swego.

— Między mną i tobą mój paniczu za daleka przestrzeń, by jeden i drugi przed jednym stanąć mogli sędzią, odrzekł młodzieniec o ciemnem oku, ciemnych włosach i ciemnem obliczu.

— Czyn brudny jest tem brudniejszy im wyżej popełniony.

— Milcz! bo cię każę wyrzucić i psami wyszczuć!...

— Hola! hola moi panowie; ozwał się szambelan. Jesteście obydwa u mnie. (C. d. n.)

NA WSCHODZIE.

O pierś okrętu kołace fala,
W skier fosforycznych migocąc blasku,
A z brzegu nowego świata
Łoskot bałwanów słychać już zdala,
Czuć że ląd blisko po mewy wrzasku,
Co nad okrętem przelata.

Śladem okrętu połyska morze,
Gwiazd mirjadami skrzą się niebiosy,
Księżyc jaśnieje w zenicie:
Mierzyłem okiem wodne bezdroże,
Tak niezgłębione jak moje losy,
Burzliwe jak moje życie.

Niebom i morze badał noc całą,
Noc u nowego świata podwoi,
Niebo i morze bez końca!
Na wschód patrzałem duszą zbolałą,
A kiedy okręt stanął w ostoi,
Przedemną błysnął wschód słońca.

Jan Bar.......

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY I WYCIECZEK PO KAUKAZIE.
(Ciąg dalszy.)

Lecz najbardziej sławi się Georgiewsk wybornym swoim chleben, najlepszym na całej linii kaukaskiej; wypiekany w dużych pulchnych bułkach, około funta ważących, sprzedaje się po 5 do 6 groszy i zaleca się tem, że nie ma tego zbyt kwaśnego smaku, jak wszędzie po innych miejscach Rossyi. Mąka pszenna jest najgłówniejszym artykułem tutejszego handlu; zewsząd zjeżdżają się tu po nią kaukascy posielanie i wojskowi zakupnicy; bo ztąd już niedaleko leży Kaukaz chłopski i najbogatsza na całym Kaukazie wieś zwana Worońcówka, majętność ks. Woroń-

cowa, zaludniona małorossyjskim chłopem, i ztąd także niedaleko i do innych wiosek prywatnych i zamożnych.

Georgiewsk z powodu swego pośrodkowego położenia, pozostanie na zawsze ożywionym targiem produktów wiejskich, mianowicie rolnych. Pod względem zaś wojskowym Georgiewsk jest głównym składem artyleryjskich parków i wszelkiej broni: arsenał tutejszy jest jedyny na cały kraj kaukazki.

W ciągu naszej podróży zawsze najnieznośniejszy pobyt miewaliśmy po miastach. Za przybyciem do Georgiewska dano nam kwatery u tamtejszych mieszczan. Trzeba się było przygotować na ich niegościnne przyjęcie i niechęć; przecież zaledwie wszedłem do swego mieszkania, gospodyni z grzecznością ukazała mi izdebkę w sieni, gdzie się miałem rozlokować. Ta izba była to piekarnia pełna much, karaluchów i innych żyjątek zapewne, i tak ogrzana, że w łaźni parowej goręcej już nie bywa: dopiero co bowiem z pieca chleb był wyjęty i powtórnie go napalono. W sieniach więc założyłem swe mieszkanie, pomiędzy różnemi gratami, konewkami, nieckami, sitami, worami mąki i otrąb, zrzuciwszy do jednego kąta wszystkie swoje bagaże. Podchmielony zaś gospodarz trzeźwił się za ogromnym samowarem, klnąc żonę i dzieci, czasami rozpędzając ich pięściami z izby i znowu zwołując. Kilku z jego sąsiadów przy tymże stole nalewali z ogromnego butla c z y c h i r, pijąc i przekąsując suchą rybą, której odór po całem rozchodził się podwórzu. Żądać czegoś do posilenia było tu niepodobieństwem: zabrałem się więc na miasto. Obecnie w Georgiewsku jest niezła traktyernia, lecz przed laty 10 jedyną uciechą dla podróżnych były siedzące na placu przekupki z gotowanem mięsiwem, galaretą, ogórkami i mlekiem; a dla zagłuszenia smaku tych potraw, po szynkach znajdowało się obficie kaukaskie wino czyli czychir.

Moi towarzysze podróży, kaukascy junkrowie, uszczęśliwieni, że wstąpili nareszcie w strefę czychiru, od niego rozpoczęli ucztę w Georgiewsku. Usługujący żołnierz, który dotąd mnie nie odstępował, znikł gdzieś za przybyciem do Georgiewska. Właśnie teraz idąc spotkałem go niosącego za jednym z junkrów ogromny butel pełny czychiru. Junkier już dobrze zarumieniony ujrzawszy mnie: „koleżko, zawołał, czemużto gardzisz naszem towarzystwem? Chodź z nami, wypijem po szklance wina, bo prócz chleba nic nie dostaniemy w tej mieścinie. Ale mniejsza o to, kiedy czychir doskonały.“ Nie czekając mojej odpowiedzi uchwycił mnie pod rękę i ciągnął za sobą. Niepodobieństwem było opierać się podochoconemu młodzieńcowi, gotowemu od grzeczności do impertynencyi nagły zrobić przechód.

Całe podróżne towarzystwo znalazłem za szklankami. Towarzyszka naszej podróży robiła honory tej biesiady. Gdym wszedł spotkała mnie dygając ze szklanką napełnioną blado-czerwonem i mętnem winem, tak cierpkiem i kwaśnem że nasz kwas burakowy w porównaniu z niem uszedłby za ambrozyą. Czychir, o ile jest dobrym na miejscu, gdzie się produkuje ponad Terekiem, o tyle zepsutym zawsze, rozwodnionym i mętnym w odleglejszych od Tereku miejscach, bo w miarę ubywania go z beczki podczas przewozu, dolewa się wodą, tak, że mimo wyprzedaży, beczka zawsze pozostaje pełna, a ztąd i cena wina zawsze ta sama.

Do biesiadującego towarzystwa podróżnego przyłączył się sam gospodarz ze swoją połowicą. Onto właśnie fundował czychir, jego małżonka podawała gotowane ryby, pirożki i bliny, najstarsza zaś z córek gospodarza siedziała z boku na kufrze zasłanym perskim kobiercem, obok jednego z junkrów, najpoważniejszego z kompanii, udającego że przyjechał się żenić do Georgiewska. Inne siostry krzątały się z matką około gości, przynosząc z pieca różne zakąski. Szły na stół ryby, jajecznica i czychir.

Marya, najdoroślejsza z córek gospodarza, kandydatka do stanu małżeńskiego, jak ładniejszą twarzą i delikatną rączką, tak bogatszym ubiorem, jedwabną suknią i trefionemi pięknie włosami odróżniała się od siostr młodszych, które, jak było widać, musiały jeszcze terminować w domu nim dorosną wieku jej równego i tych praw dostąpią, aby mogły przyjmować oświadczenia i konkury. Nie uszło też uwagi tej hulackiej młodzieży, że Marya chorowała na panią. O młodzi kupieckiej odzywała się z szyderstwem, uznając się godną innej sfery, niż ta w której wyrosła i spiękniała. Nie omieszkiwali też moi towarzysze podróży natychmiast odegrać właściwej roli, nie nowej dla nich, którą i później w ciągu podróży w mych oczach kilka razy jeszcze powtórzyli z całą biegłością wyćwiczonych aktorów. Wyglądała ona męża ze szlacheckiego stanu, b ł a h o r o d n e g o, któryby ją stroił, nie pozwolił pracować, a nadewszystko któryby umiał ocenić jej niby lepsze wychowanie. Podobne wywyższanie się nad właściwą sferę, tak nierzadkie między kobietami wszystkich miejsc i czasów, zwykło bywać dla nich źródłem najsmutniejszej przyszłości. Nie ocenione od swoich, wzgardzane i wyśmiane od tych, między których się wciskają, muszą te istoty jak upiorzyce całe życie błąkać się między niebem i ziemią, od nikogo nie uściśnięte, nie przylgnąwszy sercem do nikogo. Nie będąc wieszczbiarzem można było Maryi odrazu opowiewiedzieć jak z książki całą jej smutną przyszłość: ciągły zawód i nie ziszczające się najbliższe nadzieje, rozdzierane wszystkie illuzye, pośliźnięcie się na drodze dziewiczej skromności, mąż utracyusz i pijak, niezgody i bijatyki; złe jej życie i śmierć przedwczesna z rozpaczy i zgryzot.

Udani narzeczeni cały czas siedzieli przy sobie, trzymając się za ręce; ucałowali się nareszcie na żądanie ojca, zatwierdzając niejako prowadzony interes małżeński. Całe towarzystwo wychylało zdrowie młodej pary. Pozostawało zrobić formalną umowę; lecz z powodu święta odłożono to do dnia następnego. Nazajutrz występowaliśmy raniutko,

a wtedy szukaj wiatru po polu. Żal mi było dziewuchy; nie mówiąc ani słowa, nieznacznie wyszedłem z izby. Przed domem napotykam niepomiernej postawy oficera: stanąłem frontem, przyłożywszy dwa palce do czoła. Lecz przyjemnie się zadziwiłem, gdy pierwszy mnie zaczepił, przemawiając i rekomendując się. Byłto nie więcej jak chorąży świeżo wracający z Taganrogu, z examinu oficerskiego, współrodak p. Szawł... o którym już mi w drodze mówiono. Witałem go więc jako dawnego znajomego. On także już od kogoś był zawiadomiony o mojem przybyciu.

— Poznałem odrazu — rzekł — z ubioru i fizygnomii, że musisz świeżo przybywać z kraju.

To mówiąc wprowadził mnie do swej stancyi i kazał służącemu nakrywać do stołu. Za półgodziny bez czychiru, bez hulatyki, zjadłszy po talerzu barszczu i kaszy, którą zgotował Iwan jego służący, a zarazem kamerdyner, kucharz, szatniczy i masztalerz, już byliśmy jak rodzeni bracia, uszczęśliwieni ze spotkania po długiem niewidzeniu.

P. Szawł... od lat kilkunastu bawiący na Kaukazie, rodem z Płockiego, dał mi charakterystykę mego podróżnego towarzystwa, lepszą, niżbym sam sobie ją stworzył, choć od dni kilku z niem miałem do czynienia. Wdzięczny mu byłem, że mnie nauczył metody postępowania z kaukaską młodzieżą. Wielokrotnie w praktyce później zastosowałem trafne jego rady. Niejeden z nich, ileżto razy udawał to uczonego i badacza, to poetę i literata, pragnąc zbliżyć się do mnie; z udanym entuzyazmem pochwytał każde moje słowo, choć to najmniejszego nie miało znaczenia, z chciwością każdą książkę jaką wypatrzył u mnie, lub nareszcie odgadując moją namiętność nauczycielską, żądał abym go uczył jakiego przedmiotu, a kończył prośbą o pożyczenie mu kilku lub kilkunastu rubli. Uprzedzony już o podobnych wybiegach, pozbywałem ich kilku złotemi, i zawsze pozostałem z nimi przez to w dobrej harmonii.

W ciągu rozmowy mój chorąży zapoznał mnie powoli z przyszłą społecznością, śród której żyć miałem: z przyszłymi towarzyszami broni. Pragnąłem ich co rychlej oglądać jak starych znajomych.

Nazajutrz opuściliśmy Georgiewsk. Pocztowa trójka, wioząca poważną i groźną postać kochanego chorążego rzuciła się w spienione fale Podkumka, poza który szedl trakt ku górom kaukaskim wiodący, gdy tymczasem całe nasze towarzystwo, podkasawszy poły jedną ręką, a drugą niosąc w górze obuwie, brnęliśmy po pas w mętnej wodzie, kierując się za naszą podwodą, przez parę wołów ciągnioną.

Wydobywszy się wąwozem poza wzgórza nad Podkumkiem leżące, znowu ujrzeliśmy się śród stepu, ciągnącego się jednostajnie aż po same prawie stopy kaukaskich szczytów. Już tu nie było tych wzgórz olbrzymich po drodze, tych zwolna i poważnie podejmujących się wyniosłych płaszczyzn. Odznaczała go tylko bujna trawa i zboże szumiące pełnemi kłosy; a ograniczały go zdala ciemno błękitne Piatychorskie góry od zachodu, i białe, śniegowe szczyty głównego łańcucha od południa. Jak na poprzednich stepach, tak i tutaj rzadkie są wody; od Podkumka aż do Tereku na przestrzeni z górą mil 10, nie ma żadnej rzeczułki znaczniejszej. W stannicach są tylko studnie najczęściej z wodą gorzką i niesmaczną. (C. d. n.)

Najnowsze dzieła.

DIABEŁ.

Powieść z czasów Stanisława Augusta, przez Kraszewskiego. 4 tomy we 2. wydanie poprawne.

(Ciąg dalszy.)

Podczas gdy p. Michał brnie coraz dalej, i coraz więcej smakuje w tym zakazanym owocu światowego doświadczenia, smutne i jednostajne dnie przepędza Anna w Głuszy z pamiątką szału i boleścią razem w sercu, a smutnem przekonaniem, że jest już dawno zapomniana, przez tego, którego tak szczerze pokochała. Tymczasem po trzy razy pojawia się jej przez sen babka podczaszyca i wzywa ją by ratowała ukochanego wnuka. Poczciwa dziewczyna bogobojnie wychowana, wierzy iż sen ten z boskiej pochodzi ręki, i powstaje w niej myśl stanowcza, wszystkich dołożyć sił, aby wyratować podczaszyca, i stać się mu dobrym duchem. Jakkolwiek i ten ustęp trąci mistycyzmem, wydaje się wszakże naturalniej od całej tajemniczej figury djabła, złego ducha Fotofera. Myśl ciągła o kochanym tak gorąco podczaszycu, czyliż już sama nie mogła wystarczać na sprowadzenie takiego snu i rozbudzenie tak świętej myśli, tyle stosownej do niewieściego wyobrażenia, nie uciekającego przed żadnem poświęceniem.

Lecz w tem trudność jak to uskutecznić, jak się dostać do Warszawy? Czegóż nie przezwycięży wytrwałość kochającej kobiety. Siniński ma w Warszawie rodzonego brata pana Kaspra, skąpca ogromnego, który ma niewielki domek na ulicy Bednarskiej. Póty przedstawiała ojcu podróż do Warszawy pod różnemi postaciami, póki go do niej nie namówiła. Pożegnanie z starym domem, świadkiem lat dziecinnych i tego pierwszego silnego uczucia, rozbudzonego w sercu dziewicy, ten wyjazd poraz pierwszy w świat nieznany, który po za bramą własnej zagrody wydaje się tak obszerny, tak zimny i tak okropnie obcy, opisał autor z tym właściwym mu wdziękiem naturalnej i tkliwej prostoty. Każdy z żyjących doznał tego uczucia choć raz w życiu. Bo choć raz w życiu z sercem czuć jeszcze zdolnem żegnał czy lube miejsce jakie, czy drogą osobę, czy serdeczne wspomnienia, które już nigdy, nigdy wrócić nie miały. I dla tego takie opisy bez pretensyi skreślone robią stokroć silniejsze wrażenie od najokazalszych opisów scen światowych, których barwy zawsze jaskrawe, różnią się tylko stosunkiem do siebie.

Czas bylo pomyśleć o ratunku biednego bohatyra, który stał już nad przepaścią. Szybkim on krokiem szedł po drodze powodzeń światowych, coraz głębiej wpadał w zepsucie, wziętość i sławę, jakiej się chciał dorobić. Wszystkie namiętności spiące dotąd rozwinęły się w Ordyńskim bo nie hamował ich w nim nikt, i nic, żadna myśl wyższa, żadne silniejsze uczucie, niewstrzymywały go, żadne prawidła z wychowania czerpane. Kochał się, hulał, grał w karty i trwonił pieniądze. Kupił dom, urządził na pańską stopę i licznych przyjmował u siebie gości, których główną zabawą była gra szalona, ta zabawa ówczesnych panów, którzy przegrywali majątki, potem sławę i cześć, aż nareszcie w końcu przegrali biedną ojczyznę. Fotofero — djabeł stał się jego nieodstępnym przyjacielem i towarzyszem; on mu dostarczał lichwiarzy, gdy zabrakło pienię dzy, on mu pomagał do jego efemerycznych miłostek. On także wprowadził mu w dom włocha Cerullego, jakiegoś przywłokę, jakich nasza ojczyzna miała szczęście i przywilej posiadać i wzbogacać zawsze. Był to jak się zdaje szuler, który zwykle bank trzymał w domu podczaszyca, i wszystkich niemiłosiernie ogrywał prócz samego gospodarza, który choć niewiele wygrywał, ale sam jeden obronną zwykle wychodził ręką. Nie zwracano na to wielkiej uwagi, ale przecież nie bez tego, by to szczęście gospodarza obok nieszczęścia drugich nie wzbudzało niejakiego zadziwienia. W środku tych zdarzeń pojawiła się na horyzoncie Warszawskim nowa piękność zalotna, pani wojewodzina, żona starego już wojewody, otworzyła dom, i wnet ją otoczyła zgraja wielbicieli. Najgłówniejszą między niemi rolę odgrywali Rybiński i nasz Ordyński; komu palma zwycięztwa przeznaczoa była nikt niewiedział, ale niemniej przeto niecierpieli się współzawodnicy. Trafiło się tedy, że na wieczorze u podczaszyca, Rybiński zgrał się co do grosza, i powstawszy gniewny wyrzekł:

— Prawdziwie u pana podczaszyca, tylko podczaszycowi grać można; on jeden wygrywa.

— Jak pan to rozumie? zapytał Ordyński.

— Jak ja rozumiem, to mnie wiedzieć, a pan sobie bierz jak chcesz; to mi wszystko jedno.

Był to widoczny przytyk do Ordyńskiego, którego obwiniał niejako że gra na współkę z Cerullim. Słowo to rozbudziło wszystkich domniemywania, śpiące dotychczas. Goście powarzeni wyszli od podczaszyca, który nazajutrz wyzwał Rybińskiego, ale Rybiński niechciał przyjąć pojedynku z człowiekiem, którego uważał za wspólnika szulera Cerullego. Okropny był to cios dla podczaszyca, który niewiedząc co ma robić, jeździł do wszystkich znajomych domów, lecz go nigdzie nieprzyjęto. Zdanie powszechne jak to na wielkiem świecie bywa, potępiało podczaszyca; słowo niedorzeczne Rybińskiego stało się głosem powszechnym. Jeżdżąc od domu do domu, zajechał wreszcie nasz bohatyr do włoszki Frascatello, która go przyjęła z dawnem przychylności uczuciem, lecz nic mu pomódz nie mogła, tem więcej, że była już mocno chora na suchoty. Nagle więc wszystko wymyka się z rąk podczaszyca, bo i pieczeniarz Baucher unika go, nawet Orlandini już mu się nie kłania a co gorzej dowiaduje się od swego plenipotenta Frejera, że jest zrujnowany. Wpada w szał gorączkowy, i postanawia zabić Rybińskiego. Djabeł Fotofero zjawia się oczywiście w sam czas, prowadzi go na miejsce ustronne na Nowolepiu i powiada mu, że wkrótce przechodzić będzie tamtędy Rybiński w jasnym płaszczu. Ordyński namiętnością miotany, czeka na niego, a postrzegłszy go, przystępuje bliżej, strzela, i widząc upadającego krwią zbroczonego ucieka do włoszki, lecz nie czując się tam zupełnie bezpiecznym, udaje się na Bednarską ulicę do Sinińskiego, o którego przybyciu do Warszawy już wiedział od niego samego. Tu jest żywy opis przyjazdu Anny z ojcem do obcego miasta, którego ruch ich odurza. Ledwie dopytali się do domku pana Kaspra, który ich przyjmuje w domku lichym, smutnym i brudnym, wściekle skąpy. Anna dowiaduje się z boku o niecnych postępowaniach podczaszyca, co nie zmniejsza jej przywiązania, ale zwiększa obawę o niego tem silniej, że nie wie co począć, a ojcu naturalnie zwierzyć się nie może. Siniński odwiedza podczaszyca, który go czule przyjmuje, i pyta o córkę, lecz ojciec w tej mierze zagaduje, tak że dotąd Ordyński niewiedział o bytności Anny. Jakież zadziwienie jego, gdy wszedłszy do Sinińskich zastaje Annę, a jej widok przywodzi mu na pamięć roje wspomnień dawnych, niewinnych, które mu w tej chwili okropnej nowym stają się bolem. (D. n.)

Rozmaitość.

* Jeden z literatów lwowskich cenionych z talentu, napisał pod pseudonymem Maciej Łomża wykład **Dziejów polskich** dla dzieci od lat siedmiu do dwunastu. W tych dniach dziełko to wyszło z druku.

Joachim Lelewel opowiedział potocznym sposobem dzieje Polski. Na tle tego dzieła porobiono mnóstwo książek podręcznych. Jeżeli odrzucimy z nich ramki powieściowe i wtrącone gdzieniegdzie anegdoty, poznamy Joachima Lelewela, który nie zawsze potocznym sposobem opowiada synowcom swoim zdarzenia narodowe. —

W chęci ulżenia dzieciom nauki, przedstawili jedni dzieje narodowe w obrazkach malowanych, czyniąc z tego zabawę; drudzy zaś, bawiąc opowiadaniem, ustroili je w szaty powieściowe. Jedni i drudzy chybili celu, bo nauka nie jest zabawką.

To przekonanie spowodowało autora do napisania tej książki. Jest to krótkie a zwięzłe opowiadanie dziejów narodu polskiego, w słowach jak najbardziej przystępnych. Przy układzie korzystano najwięcej z Lelewela. W toku opowiadania nie pominiono dawnych naszych tradycyi dziejowych, zostawiając na boku wszelkie, gdzieniedziej szacowne, usiłowania krytyki dzisiejszej. Dla dzieci bowiem potrzeba takich obrazów, któreby w nie wpoić mogły miłość i przywiązanie do tego, co się nam po ojcach naszych w spuściźnie zostało.

Autor wypowiedziawszy w ten sposob cel swego dziełka dokonał tego co zamierzył sumiennie. Wykład jest jasny, zupełnie do po-

jęcia dzieci zastosowany. Z nowości dat historycznych umiał autor wybrać najważniejsze i z nich ustawić obraz zrozumiały dla dziatwy naszej. Dziełko to zastąpi brak jaki się pod tym względem czuć dawał w literaturze książek naszych elementarnych.

* Dnia jutrzejszego o godzinie dziesiątej odbędzie się w Archikatrze łacińskiej nabożeństwo uroczyste na podziękowanie Bogu za szczęśliwe uratowanie Jego Świętobliwości Papieża Piusa IXgo.

* Jutro pierwszy występ baletników panny *Lanner* i pana *Frappart* z wiedeńskiego teatru nadwornego i pana *Levasseur* z cesarskiej Akademii muzycznej w Paryżu, w balecie jednoaktowym: Saltarello.

Przyjechali od dnia 26. do 27. Kwietnia. do Lwowa.

PP. Niezabitowski Nopoleon, ze Żółkwi. Łodyński Piotr, z Prusinowa. Konopka Kazimierz br. z Biskupiego. Jaruntowski Jan, z Hermanowic. Zagórski Wicenty, z Podburza. Trzciński Piotr, z Żyrawy. Mier Feliks hr. z Witkowa. Wodzicki Kazimierz hr. z Kościelnik. Karnicki Feliks hr. z Roguzna. Dobrzański Stanisław, z Daszowa. Domaradzki Seweryn, ze Stryja.

PP. Sobota Karol, z Podhorki. Staissing Adam, z Pojeela. Antoniewicz Wincenty ze Skwarzawy. Rutkowski Marcin, z Ostrowa. Olszewski Tiburtius, z Bazara. Drohojowski Kazimierz hr. z Przemyśla. Siemiginowski Bronisław z Torskiego. Błazowski Krzystof, z Jarłowiec.

Wyjechali od dnia 26. do 27. Kwietnia ze Lwowa:

PP. Kulczycki Klemens do Stankowiec. Krzaczkowski Marcin do Sambora. Zatorski Maxymilian do Zatorza. Pilchowski Józef do Ditkowiec. Poniński Kalixt ks. do Czerwonogrodu. Zawadzki Józef do Tarnopola. Brzozowski Jan do Tarnopola. Głogowski Artur do Bojańca. Zatorski Tadeusz do Załusza. Czacki Alexander hr. do Krechowa. Gnoiński Alexander do Krasnego. Krasiński Ludwik do Polski.

PP. Thuliie Jan do Mokrzan małych. Górski Marcin do Krakowa. Dzieduszycki Kazimierz hr. do Krakowa. Kieszkowski Józef do Hrusiatycz. Baraniecki Felix do Brodów. Jordan Teofil do Tarnopola. Lange Marcel do Byszek. Czechowicz Apolinary br. do Stanisławowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 27. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	126$\frac{5}{8}$	Pożyczka 5% 80$\frac{1}{8}$ 4$\frac{1}{2}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	92$\frac{1}{2}$	Akcye banku	—
Londyn za 1 funt szterl.,	12 24	Kolej północna	1922$\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	125	Obl. ind.	973
Paryż za 300 franków .	147$\frac{5}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	109$\frac{3}{4}$
Agio duk. ces. . . .	—	Pożyczka narodowa . .	84$\frac{1}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	49	złr.	5	kr.	53
Dukat cesarski	«	5	»	54	»	5	«	56
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	6	»	10	«	10
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	57	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	53	»	1	«	55
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	92	«	30	»	93	«	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		72	»	50	»	73	»	20
5 proc. pożyczka narodowa		84	»	—	»	85	«	—

Obwieszczenie.

Niżej podpisany poleca swój obficie zaopatrzony

Skład wyrobów płóciennych,

z fabryk hrabiego Harracha

o stałych cenach fabrycznych.

Fryderyk Schubuth,

(68. 3—12) przy rynku pod Nrem. 173.

(81) **W Niedzielę dnia 29. Kwietnia 1855.**

KONCERT

Jedenasto-letniego pianisty

Aleksandra Boguckiego,

w sali redutowej w gmachu teatralnym hr. Skarbka,

pod wspólnym przewodnictwem swego Ojca i Nauczyciela, jako też pana **Józefa Schürerra**, pierwszego kapelmistrza, który z grzeczności dla Koncertysty wraz z wszystkiemi Panami członkami tutejszej teatralnej Orkiestry współdziałanie przyrzekł.

PROGRAMM

Oddział I.

1. Nowa Ouvertura kompozycyi Józefa Schürrera.
2. Allegro z wielkiego koncertu F. Kalkbrennera, Op. 125. na dwa Fortepiany z towarzyszeniem całej Orkiestry.
3. Waryacye na Sopran z opery „Les Diamans de la Couronne" Aubera, odspiewa uczennica p. Jana Nowakowskiego.
4. Wielka Fantazia Thalberga Op. 46. „sur les motifs de la Sonnambula" na fortepian.
5. Pieśń na Tenor przez Kückena „Życzenie serca."
6. Impromptu Chopina Op. 20. i Campanella Tauberta Op. 41, Etude concertante.

Oddział II.

7. Adagio i Rondo z wielkiego Koncertu Thalberga Op. 5. na fortepian z towarzyszeniem całej Orkiestry.
8. Pieśń na Tenor „Agata Herlossohna" muzyka Abta.
9. „La plainte et l' aveu," deux Nocturnes par Marcelle Madejski.
10. „Tęsknota" Mazurek na Sopran przez Nowakowskiego.
11. „Souvenir de Berlin," grande Valse par Ant. Kątski Op. 146. i Mazur Schulhoffa Op. 30. na fortepian.

Cena miejsc w monecie konwencyjnej.

Kanapa 5 Złr. — Krzesło 1 Złr. 30 kr. — Wstęp do sali 1 Złr. Galerya 40 kr.

Biletów dostać można w księgarniach pp. Kallenbacha i Wilda, w Niedzielę przy wstępie do sali od 8 do 10 godziny z rana, po południu zaś kasa o godzinie 3. otwartą będzie.

Początek Koncertu z uderzeniem 4 godz. koniec o 6 wieczór.

Podziękowanie.

Uratowanie życia drogich nam istot wkłada na nas obowiązek wdzięczności, któremu trudno nadać miarę i granicę. Z takiego to uczucia wdzięczności pragnę się choć w części tem wywiązać, że za szczęśliwe wyleczenie mego dziecięcia z tak niebezpiecznej słabości, jaką jest dla kilkutygodniowych dzieci zapalenie mózgu, **W. Panu Ferdynandowi Weberowi** doktorowi medycyny, profesorowi na wydziale położniczym przy tutejszej wszechnicy i prymaryuszowi tutejszego zakładu położniczego, którego najtroskliwszej staranności ocalenie syna mojego zawdzięczam, niniejszem publicznie składam podziękowanie. —

Lwów, dnia 24. Kwietnia 1855.

Julian Topolnicki

(82) urzędnik przy galic. kasie oszczędności.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**